

24. 6395
Z

KAPŁAN Z NEMI

DRAMAT ERNESTA RENAN'A

NAPISAL

DR. STEFAN PAWLICKI.



W KRAKOWIE,

W Drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Spółki
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1886.

KAPŁAN Z NEMI

DRAMAT ERNESTA RENAN'A

NAPISAŁ

DR. STEFAN PAWLICKI.



INSTITUT
BIBLIOTEKI I MUSEUM
BIBLIOTEKA
10-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 78
Tel. 26-68-63

W KRAKOWIE,

CZCIONKAMI Drukarni „CZASU” FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

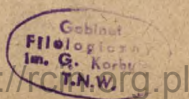
1886.

13544



Nakładem Autora.

13447



<http://rcin.org.pl>

I.

Jest pisarzy sławnych przywilejem, że każda ich książka nowa budzi ciekawość powszechną. Taki przywilej posiada niewątpliwie Renan. Po wszystkich krajach oświeconych rozchodzą się jego dzieła i są czytane, jak świadczą szybko po sobie następujące edycje, a nawet ci, którzy ich nie czytają, wiedzą z dzienników, kto jest Renan i o czem pisze. Kiedy autor takiego dostąpił znaczenia, niewolno pozostać obojętnym na to, co pisze, bo najczęściej wypowiada nie swoje przekonania tylko, lecz także wielkiej liczby czytelników, a jego pisma są zjawiskiem społecznem, niejako *signum temporis*, na którem można zrobić dyagnozę choroby lub zdrowia, obaw lub nadziei dalszego rozwoju ludzkości.

Sława Renan'a nie jest bardzo dawną. Zaczęła się w r. 1863, kiedy ogłosił „*Żywot Jezusa*.“ Przedtem znany był z prac filologicznych i pełnych talentu krytyk literackich, ale po za granicami Francji mało się nim zajmowano, a nawet w ojczyźnie rozgłos jego nie wychodził po za koła akademickie. Najlepsze studia jego z owej epoki: *De l'origine du langage*, *Averroës et l'Averroïsme*, *Histoire générale et système comparé des langues sémitiques*, były cenione wysoce przez uczonych, ale publiczność szersza nie interesowała się nimi. Dopiero „*Żywotem Jezusa*“ zdobył sobie autor sławę europejską, a ta rosła ciągle, w miarę, jak wychodziły tomy

U następnego jego *Histoire des origines du christianisme*. Gdy w lat dwadzieścia po tomie pierwszym ukazał się w 1882 siódmy i ostatni: *Marc-Aurèle*, sława ta była tak wielką, że każdy pisarz, nawet najambitniejszy, chętnie na niej poprzestalby, gdyby mu była dana.

Sławę Renan'a tłumaczy po części znaczenie pierwszorzędnego przedmiotów, o których pisał. Żywot Zbawiciela jest tak pełną, a nad wszystkim innem górującą aktualnością, że kto jego się dotknie, ujemnie czy dodatnio, zawsze poruszy wszystkich, bo zjawienie się Chrystusa, jak mówi sam Renan, to zdarzenie najważniejsze w dziejach świata, *l'événement capital de l'histoire du monde*. A dwa stulecia, które przeszły nad imperyum rzymskim, od zmartwychwstania Chrystusa aż do śmierci ostatniego z Antoninów, zostały spuścizną duchową, którą żyją dotąd ludy chrześcijańskie. Czasy owe nigdy nie zestarzeją się, ani tracą wpływu ożywczego, bo wiara pierwszego Kościoła, to wiara nasza; krew pierwszych męczenników, przelana za wolność sumienia, to nieprzedawniona konstytucya naszych swobód, religijnych i moralnych. Kto owe czasy obierze sobie celem studyów swoich, ten może z góry być pewien, że sława go nie minie. A jeżeli porwany duchem przeczenia, śmiałą rękę przyłoży do burzenia skały, na której spoczywa gmach prawdy i zbawienia, wtórować mu będą szalone oklaski przeciwników Kościoła i tradycyjnej powagi.

Jednakże wielu teologów i historyków niewierzących, pisało o czasach owych również bezwzględnie, jak Renan, a z większą nierównie nauką i oryginalnością pomysłów; pomimo to nazwiska ich, z wyjątkiem jednego może Strauss'a, nie wyszły po za mury uniwersytetów lub po za koła czytelników przeglądów fachowych. Jeżeli Renan do większego od nich, nawet do wyjątkowego doszedł znaczenia, objaśnia się to faktem bardzo prostym, że pisze po francusku, a język francuski pozostał dotąd i pozostanie nadługo dzwignią powszechną myśli ludzkiej, bo jednoczy siłę i jasność rzymską z nadobną, lekką, uduchowioną werwą Helenów. Każda myśl nowa, prawdziwa czy fałszywa, dobra czy zła, w nim wygłoszona, dojdzie do wiadomości wszystkich. A w tym języku tak prostym, a zarazem tak bogatym i dowcipnym,

że nawet myśli zwyczajne lub mierne w nim wydają się niepospolite i genialne, Renan doszedł do takiego mistrzostwa, że zarówno przyjaciele, jak przeciwnicy, oddają hold głośny jego talentowi. Bez przesady mógł napisać Paul Bourget przed kilku miesiącami, że styl Renan'a ma przymioty jedyne, wyjątkowe w dziejach literatury francuskiej. Pisać więc po francusku o początkach chrześcijaństwa, a pisać stylem podziwianym nawet nad Sekwaną, gdzie jest tylu piszących dobrze, tłómaczy dostatecznie wielką sławę Renan'a. Dodajmy, że nie tylko jest filologiem i historykiem, lecz także jest filozofem. Filozofia zaś, nawet najslabsza, najfalszywsza, daje autorowi wyższość nad tych, którzy żadnej nie mają, a co ważniejsza, pozwala mu wszędzie wnosić osobistość swoją, bo system, to najczęściej pogląd osobisty. Straci może na tem bezstronne, obiektywne traktowanie przedmiotu, ale zyska interes książki, jej chwilowe powodzenie, zwłaszcza, gdy filozofia autora odpowiada przekonaniu wielu czytelników. Otóż Renan często filozofuje: czy pisząc o powstaniu mowy ludzkiej, czy wykładając dzieje języków semickich, czy badając system Averroesa, czy tłómacząc jaki napis fenicki, czy opowiadając pierwsze koleje chrześcijaństwa, zawsze korzysta z każdej okazji, aby wypowiedzieć pogląd na jedną lub drugą wielką zagadkę ducha ludzkiego. A nie tylko pokrótce, mimochodem, przy innych przedmiotach porusza problemy metafizyczne, moralne i polityczne, lecz wiele prac osobnych im poświęcił, czy w formie listów otwartych, czy artykułów dziennikarskich, czy długich rozpraw naukowych, czy dyalogów na wzór platońskich. Potem znalazłszy, że dyalog nie jest dosyć ożywiony, ani dość wielkiej zostawia swobody do wytaczania naraz najrozmaitszych i najsprzecznějších opinij, wybrał formę dramatyczną, jako przyjemniejszą dla czytelników a dla autora dogodniejszą, skoro nie potrzebuje się identyfikować z żadną osobistością na scenie wystawianą, ani odpowiadać za to, co ona robi lub mówi. Pierwszą próbą nowego kierunku był *Caliban*, drugim *l'Equ de Jouvencee* a niedawno ukazał się *Le prêtre de Nemi*, jako dalszy ciąg tamtych. Jest jednak całością od nich niezależną, a choć moralnie z niemi związany, bez nich zrozumiany być może, skoro odgrywa się dwa tysiące lat i więcej przed niemi.

II.

Dramat ma miejsce w ósmym wieku przed Chr., gdy dumna *Alba Longa* króluje jeszcze na stoku góry Jowiszowej, lub jak dzisiaj ją zowią, *Monte Cavo*. Kto był w *Rocca di Papa*, uprzytomni sobie łatwo sceneryę sztuki. Tuż pod miastem błękitny *Lago di Albano*, a dalej ku zachodowi sięga wzrok po nad Kampanią samotną aż do ujścia Tybru. Jeszcze niema tam Ostyi, ale trochę ku północy, tuż nad brzegami rzeki, wijącej się długą, srebrzystą smugą przez dolinę, wznosi się siedm małych wzgórz, z których dwa już uwiecznione murami. Bliźnięta, które wykarmiła wilczyca, budują tam miasto nowe. W paśowym blasku zachodzącego słońca widać doskonale Kapitol i Palatyn. Na wielkim terasie albańskim przechadza się mnóstwo ludzi, których oczy gniewnie i zazdrośnie zwracają się tam, gdzie powstaje *Roma quadrata*. Choćto ludzie dawni, czują jednak, myślą i mówią, jakgdyby zrodzili się za naszych czasów. Kilku mieszczan liberalnych wysławia oświatę, jako lekarstwo niechybne na wszystkie bole społeczne; kupa rzemieślników bez zarobku ciśnie się do *Cethegus'a*, demagoga, i słucha cheiwie jego wycieczek przeciw kapłanom i możnym; arystokrata *Mecyusz*, zimny, ugrzeczniony od stóp do głowy marzy o tem, jak potrafi kark skrócić demokracji, a wprowadzić z wygnania dobrego króla *Pryskus'a*. Gotówes przysiądz, że to istni Paryżanie z bulwarów, tak oni podobni do dzisiejszych ziomków *Renan'a*. Dwie kwestye przed innemi ich trapią, polityczna i religijna. Nowi rabusie, którzy usadowili się na Palatynie, niedawno pobili im oddział wojska. Mieszczanie pragną odwetu, ale boją się wojny, bo druga przegrana, to prawdopodobny koniec Alby. A kwestya religijna, bardziej jeszcze piekąca, bo wewnętrzna. Nowy kapłan *Dyany* wprowadza reformy, wstrząsające do głębi gmachem religii narodowej. Zaczął od podarowania życia poprzednikowi, choć według prastarego rytuału był powinien go zabić. Poznosił ofiary krwawe, z wielkiem oburzeniem sprzymierzeńców, którzy stracili ufność w *Dyanę*, gardzącą ofiarami. Inteligencya go chwali, ale lud szemrze, że to kapłan nie-

prawdziwy, samozwańczy. Takie toczą się rozmowy na terasie miejskiej przy wieczornym chłodzie, a słysząc je, niepodobna rokować długiej pomyślności stolicy związku łacińskiego; wszystko w niej rozprężone, nadpsute, schorzałe.

III.

Z miejsca, gdzie niegdyś stała *Alba*, niedaleko do *Nemi*. Dzisiaj to lieha mieścina, przyklepiona jak gniazdo do skał i ruin. Ale w czasach, o których mowa, była tam sławna świątynia, czczona przez Lacyum całe. Przeszłego października, staraniem Lumleya, ambasadora angielskiego, odkryto olbrzymią, podmurowaną platformę, 300 metrów długą a 170 szeroką, na której wznosiła się świątynia dorycka z przysionkiem o sześciu kolumnach. Wydobyto z ziemi tysiące ekswołów, po większej części wyobrażające kobietę z dzieckiem przy piersiach, upominki dla bogini od wdzięcznych matek. Z licznych napisów przekonano się, że istniały tam zakłady lecznicze pod dozorem kapłanów, a znakomite źródła, które aż do niedawna spadały kaskadą do jeziora, a dopiero przed trzema laty zostały odprowadzone wodociągiem do *Albano*, chwalońo powszechnie z wielkiej siły wzmacniającej. Szezegóły te poczęści tłómaczą, dlaczego właśnie na tem miejscu założono świątynię.

Nie można było zresztą wyszukać piękniejszego. Pod nią jezioro owalne o stromych, skalistych brzegach, obramowane ciemnymi, wiecznie zielonemi dębami; jezioro tak rozkoszne, że na niem Cezarowie przepędzali dnie całe na wielkim złoconym statku; za świątynią gaj Dyany z tajemniczymi grotami, a w głębi od północy i wschodu, stoki gór Albańskich, oto państwo idealne Antystyusza. Stoi przed świątynią i każe wycierać ostatnie ślady krwi ofiarnej. Bogowie nie kochają się w rzeźalni, mówi do sług zdumionych. Chociaż piastuje godność kapłana Dyany, nie bardzo w nią wierzy. „Najlepsza cześć, jaką można oddać Dyanie ponurej i okrutnej, to powiedzieć, że jej niema!“ Cóż więc czei An-

tystyusz? „Cieniu dziewiczy i chłodny naszych lasów, ty istniejesz! ciebie koeham!“ Tak modli się rozmarzony.

Tymczasem napelnia się plac przed świątynią. Posłowie Herników prowadzą pięciu jeńców na ofiarę. A Antystyusz oburzony, rozcina im więzy i ogłasza czcicielami nowej religii sprawiedliwości i rozumu. Oczywiście nikt nie kontent z takiego obrotu sprawy, a najmniej jeńcy, którzy cieszyli się nawet, że oddadzą głowy pod topór ofiarny na cześć bogini.

Po Hernikach zjawia się biedna kobieta, aby prosić boginię o zdrowie syna. „I ty śmiesz wierzyć, krzyczy Antystyusz, że bóstwo dla podarków zmieni porządek przyrody!“ Matka nieszczęśliwa, pierwszy raz w życiu usłyszawszy słowa takie w miejscu świętem, odpowiada z goryczą: Zły człowieku! twoja będzie wina, jeżeli syn mój umrze! Ledwo odeszła, wpadają kochankowie z gołębiami, Wirginusz i Wirginia. Tym pozwala Antystyusz pójść aż wgląd świątyni, a tam puszczać wolno gołąbki. „Wy jedni przynosicie bogini ofiarę miłą, bo serca czyste.“ Widzowie mimo woli pytają: Czyż matka, która przyszła pomodlić się o zdrowie syna, nie miała serca czystego? lub owi Hernikowie, którzy okrutnie może, ale w prostocie ducha, według tradycyi dawnej pragnęli uzczyć boginię?

Nowy tłum spieszy do przysionka świątyni. Ekwikolowie postanowili ułożyć dla rzeczypospolitej swojej nową konstytucyę, a nie chcą do rzeczy tak wielkiej zabrać się bez przyzwolenia bóstwa. Antystyusz darzy ich frazesami: „Badajcie ducha przodków! pełńcie sprawiedliwość, szanujcie prawa człowieka, miejcie za bóstwa najwyższe cnotę i rozum!“ Na to odpowiada naczelnik deputacyi: że mają rozumu dosyć w domu, ale oprócz rozumu, potrzeba do uchwalenia praw także powagi, a powaga od bogów pochodzi. I raz jeszcze prosi o ofiarę. Ta odpowiedź rozsądna, pozbawia kapłana Dyany do reszty upamiętania. Wpada w gniew i rzuca Ekwikolom obelgi: „Wy chcecie zaprowadzić u siebie panowanie sprawiedliwości, a zaczynacie od zbrodni! Na czele konstytucyi waszej wypisujecie kłamstwo. Precz ztąd! idźcie gdzieindziej! Tutaj nie nauczycie się kłamstwa!“

Antystyusz zostawszy nareszcie sam, zaczyna monolog rozpaczliwy. Nikt go nie rozumie, a jego apostołstwo wydaje owoce najzgubniejsze. Z wyjątkiem pary kochanków, wszyscy, którzy przyszli radzić się bogini, odeszli z oburzeniem. Hernikowie i Ekwikolowie wystąpili nawet z konfederacyi lacińskiej. Dlaczego rozum ludzki taki ciasny! ubolewa kapłan Dyany; dlaczego człowiek chce koniecznie mieć Boga swego i zabrać dla siebie nieskończoność? dlaczego chce rozmawiać z swoim ideałem, jak gdyby ten ideał był czemś rzeczywistym? — Antystyusz nie wie, co robić. Chciałby porzucić świątynię i uciekać od ludzi, ale w cóż obróci się wtedy misya jego? Należy więc pozostać! Ale chcąc żyć z ludźmi, trzeba jak oni, z płaszcza nieskończoności wykroić dla siebie jakąś szmatę! Antystyusz uradowany, że w tym argumencie znalazł sposób omińnięcia trudności, będzie odtąd mówił: to moja nieskończoność, tak jak ludzie zwyczajni mówią: to nasz Bóg! Zapomina jednak, że ludzie rozumieją przez Boga rzeczywistość pełną życia, a on przez nieskończoność coś, co właściwie nie istnieje. Ale narazie wystarcza mu ten fantom myślny, i będzie grał dalej rolę kapłana Dyany. On, który przed chwilą rzucił Ekwikolom dumne słowa: tutaj nie nauczycie się kłamstwa! nie czuje biedny, że położenie jego urzędowe od pierwszej chwili jest ciąglem, smutnem kłamstwem.

IV.

Tymczasem w Albie wzrasta oburzenie. Zaszła bójka między młodzieżą rzymską i albańską, a z tej pięciu poległo. Obywatele żądają zemsty. Arystokraci pchają do wojny, aby zdyskredytować rządy liberalne; radykalni dolewają oliwy do ognia w nadziei, że sami dorwą się władzy, jeżeli nie całej, to choć kawalka; jedni umiarkowani opierają się, widząc w wojnie zgubę ojczyzny, a także utratę swego wpływu. Ale na widok pięciu trupów, obnoszonych po forum, lud wpada w takie rozjątrzenie przeciw umiarkowanym, że oni także głosują czempredziej za wojną. A mają na to argument wyborny: „wojna bez nas, to tryumf waryatów!“

Rozlega się jeden okrzyk olbrzymi: do Rzymu! a wojna, której wczoraj nikt nie chciał, dzisiaj przez wszystkich postanowiona. Brak tylko Antystyusza, a bez niego nie można spełnić ofiar błagalnych. Idą więc go szukać. Liberalis zastaje go przed świątynią, pogrążonego w myślach. Trzy problemy męczą naraz biednego człowieka: czy jest Bóg? czy dusza jest nieśmiertelna? czy jest kara lub nagroda z tamtej strony grobu? Chętnieby nie wierzył w te rzeczy, ale cóż począć, kiedy się jest reformatorem ludzkości! Społeczeństwo nie może istnieć bez moralności, a ta niepodobną bez owych trzech pojęć. „Cnota (tak mówi do siebie) nie potrzebuje sprawiedliwości ludzkiej, ale nie może obejść się bez świadka niebieskiego, któryby w trudnych chwilach jej dodawał odwagi.“ Te myśli przerywa nagle Liberalis, najlepszy jego przyjaciel, tłumacząc mu, dlaczego on także głosował za wojną. Teraz potrzeba tylko obywatelom dodać ducha przez wróżbę pomyślną, przez jakąś przepowiednię antyrzymską. Ale nie chce o tem słyszeć Antystyusz. Jego sympatyje po stronie Rzymian, do których należy przyszłość, a dopiero po długich perswazyach zgadza się, aby spełnić przynajmniej rytmem przepisane ceremonie, bez których nie wolno rozpocząć wojny.

Obywatele, zebrani na forum, przyjmują go jak najgorzej, posadzając o sprzyjanie nieprzyjaciolom. Gdy bierze święty oszczep, umoczony we krwi ofiarnej i według obrządku prastarego rzuca ku Rzymowi, zdaje się tłumom, że to zrobił miękko, bez przekonania; domagają się zatem jakiejś ofiary energicznej, aby uśmierzyć gniew Dyany, choćby rozplatania kilku złych patryotów na jej ołtarzu. Napróżno przekłada Antystyusz, że rzeczy tak potwornej bogowie żądać nie mogą. Nikt go nie słucha; słowa jego bezsilnie zślizgają się po twardej uporu zbroi; przebić jej nie potrafią, bo czują wszyscy, że mówi bez przekonania, jako człowiek niewierzący. Wszak sam do siebie odzywa się z rozpaczą: och! jakże kłamię się niezgrabnie, gdy się nie jest kłamcą! Tłumy gniewają się, że profanuje imię bóstwa, udając kapłana. Narreszcie poczynają wołać: nie mamy kapłana! Wychodzić na wojnę bez kapłana, to tak, jak puszczać się w drogę bez wróżby pomyślnej. Chcemy kapłana! To wyrok śmierci na

biednego Antystyusza, bo dostać następcę w kapłaństwie to samo, co zginąć z jego ręki. Tak każe narodowy obyczaj. Wprawdzie uchodzi szczęśliwie z forum, ale gniewu ludowego nie już nie uspokoi. Zbrojne tłumy ciągną do *Nemi*, a Meczyusz arystokrata woła radośnie: Teraz świat znowu spoecznie w zbrodni jako łożysku swem przyrodzonym.

Przepowiednia Meczyusza wkrótce się ziściła. Tłum wraca, dźwigając w tryumfie Kaskę, zwyczajnego mordercę, który zawsze gotów sprzedać sztylet swój więcej dającemu. On teraz będzie kapłanem, skoro dopełnił prawem przepisanego warunku. Zabiwszy kapłana Dyany, on jeden ma prawo do jego godności. Lud zrazu zdziwiony, że taka figura będzie piastowała godność najwyższą w hierarchii lacińskiej, ale radość z śmierci Antystyusza ucisza wszystkie skrupuły. Kaska ogłoszony kapłanem, a dla utrwalenia swej władzy, wchodzi w sojusz z patrycyuszami, przyrzekając im znakomitszych demokratów pozabijać na cześć bogini. Lud niezmiernie ucieszony, zastawia stoły na forum do wspólnej uczty; bo w jego oczach zwycięstwo nad lotrami palatyńskimi już niewątpliwe, skoro znalazł się kapłan według dawnego porządku, a reformy obrażające bogów, zniesione. Przy pomocy Dyany przejednanej zakwitnie na nowo rzeczpospolita albańska. Niestety, radość trwa tylko chwilę jedną. Wpada Karmenta Sybilla, która kochała Antystyusza i przebija zbrodniarza. Wszczytna się zgiewek straszny: lud rozpacza, że świątynia znowu bez kapłana; fanatycy chcieliby się zemścić, ale nie śmieją, a tymczasem Sybilla w ubraniu czarnem, z olbrzymimi włosami w nieładzie, wskoczywszy na ołtarz, w wierszach zagadkowych, teńących ponurym szalem, przepowiada zwycięstwo Rzymu, upadek ojczyzny, w dalekiej zaś przyszłości jakąś religię nową, która przyjdzie od wschodu, i zamiast ofiar barbarzyńskich, objawi ludziom kult nowy prawdy i miłości. A za ledwo zniknęła, już część jej przepowiedni sprawdzać się zaczyna, bo wpada posłaniec zadyszany z wiadomością, że Romulus zabił brata, a mury miasta wiecznego skończone. Gdy wszyscy stoją w niemem osłupieniu, nagle odzywa się głos straszliwy, grobowy, Jeremiasza proroka: „*To mówi Pan Zastępów: Trudy ludzkie na nic, a praca narodów pójdzie na ogień i zniszczenie.*“

V.

Byłoby niesprawiedliwie, gdybyśmy do *Kapłana z Nemi* chcieli przyłożyć surową miarę krytyki poetycznej. Nie będąc poetą, autor nie może mieć pretensyi do wawrzynów, rosnących na Parnasie, a jego dramata powinny być brane za to, czem są w istocie, za rozprawy filozoficzne, dla których kolumn i płaszcz Eszchyłowy są tylko draperią przypadkową. Ale wolno zapytać, czy bez szkody dla prawdy dadzą się teorie oderwane, naukowe, wcielić w nadobne kształty poezyi i wyobraźni? lub czy wkońcu nie okaże się, że na tej próbie albo poezya źle wyszła, albo filozofia? Sądząc bezstronnie poemata filozoficzne, jakie dotąd zjawily się w literaturach świata, nie możemy nabrać przekonania, że próba się powiodła, pomimo olbrzymiego nieraz talentu autorów, a gdyby nawet w przyszłości znalazł się jaki talent znakomitszy, to na tem polu prawdopodobnie, jak poprzednicy, stworzy same dziwolągi, zamiast prawdziwie pięknych utworów. Raeya tych niepowodzeń bardzo prosta.

Poezya, jak każde piękno, zwraca się do wyobraźni i musi dbać o formę zmysłową, konkretną; przeciwnie filozofia do refleksyi przemawia, a używa abstrakcyj przezroczytych i ogólnych. Dwie tendencye, tak odmienne, nie dadzą się pogodzić w jednym utworze, zwłaszcza, gdy filozofia używa często wyrazów, których nie można pomieścić w wierszu, a poezya obrazów, które dla umysłu rozumującego są zbyt ciężkie lub bałamutne. Gdyby nawet udało się ominąć te trudności, powstanie dzieło wymuszone, które będzie miało formę bładą, a treść bardzo nudną. Z wszystkich zaś gatunków poezyi, najmniej do takiej roli nadaje się dramatyczna, będąc najzupełniejszą antytezą filozofii.

W istocie tamta potrzebuje akeyi, a ta zaś spokoju. Jest zatem dramat filozoficzny w znaczeniu ścisłem słowa czystą niemożebnością. Renan'owi jednak wydawał się być rzeczą bardzo łatwą, bo napisawszy kilka dyalogów, mniemał, że dosyć będzie dodać do nich trochę akeyi, aby utworzyć dramat. Nie dostrzegł, że abstrakcye bez pozbycia się swoich cech właściwych; nie mogą zamienić się w charaktery sce-

niczne, a gdy koniecznie je zmusimy do tego, będą to figury konwencyonalne, bez ciepła, życia i ducha. Takimi są prawie wszystkie osoby w *Kapłanie z Nemi*. Pozbawione rysów prawdziwie indywidualnych, nie czują tego, co mówią: nie mają żadnej namiętności. Noszą nazwiska, ale jak alegorie w salach barokowych, aby wiadano, co każda wyraża: *Mecyusz* jest arystokratą, *Dolabella* fanatykiem religijnym, *Liberalis* człowiekiem postępowym a umiarkowanym; gdyby jednak pozamieniano ich nazwiska, mogliby grać każdy inną rolę, a bieg dramatu nieby nie ucierpiał na tem.

Oczywiście w takich warunkach akcyja żadna odbyć się nie może. Z figur konwencyonalnych, bez życia, można ułożyć dekoracyę, ale nie można wydobyć czynów powikłanych węzłami krzyżujących się interesów. Bo czyny rodzą się w duszy, a zanim zjawią się na arenie dziejowej, muszą wprzód przebyć wszystkie chwile wzmagającej się namiętności. Bohaterowie *Renan'a* przeciwnie są zimni, bez wzruszeń wewnętrznych, a jeżeli przenoszą się z miejsca na miejsce, jeżeli nawet zabijają, to za pomocą dłoni ukrytego za sceną reżysera. Mogliby zaraz na początku zrobić to, co robią na końcu, skoro nie rozwijają się, nie przechodzą przez żadną kryzę psychologiczną; skoro od pierwszej chwili są gotowi i kompletni, jak przystoi może abstrakcyom, ale niezwykle wydaczać się ludziom żywym.

Przypuszczam, że *Renan'owi* spać nie dała sława młodszego *Dumas'a*, a widząc, jak genialny ten autor dwadzieścia problemów moralnych wprowadził na scenę z niebywałem powodzeniem, mniemał, że dramat będzie formą najwłaściwszą do wygłaszania systemów filozoficznych. W istocie nie było poety dramatycznego, któryby tyle, co *Dumas* filozofował, a każdy utwór jego poświęcony rozwiązaniu trudności, społecznej lub psychologicznej, godnej, by zaprzętała uwagę myślicieli najgłębszych. Nie są to jednak dramata filozoficzne według pojmowania *Renan'a*. W żadnym z nich nie występują filozofowie, lecz ludzie praktyczni, codzienni, a jeżeli dyskutują, to nigdy o systemach, lecz o faktach konkretnych, wytworzonych przez położenie soeyalne lub usposobienie moralne osób rzeczywistych. O takich faktach można rozprawiać z górnego, ogólno-ludzkiego stanowiska, a nie

osłabi to w niezem biegu akcyi, bo siła wypadków pcha ją dalej. Ale postawmy na scenie, zamiast ludzi praktycznych, kilku filozofów, i każmy im rozprawiać o panteizmie lub najlepszej formie rządu lub prawdziwości religii objawionej, a nie widzimy żadnego powodu, aby mieli od dyskusyi przejść do czynów. Myśliciel oderwany najczęściej od nich stroni, a jeżeli, jak u Renan'a, nie bardzo przekonany o prawdzie swojej wiary, będzie nawet stanowczo ich unikał. Dlatego też żaden wielki poeta nie obrał nigdy filozofa główną osobą dramatu, a jedyny wyjątek Hamleta regułę tę świetnie stwierdza, bo nie jest przedstawicielem jakiejś teoryi filozoficznej lub politycznej, lecz tylko mścicielem zbrodni, na jego ojcu popełnionej; brak zaś decyzyi, wrodzony naturom, lubiącym medytować o zagadkach metafizycznych, byłby przeszkodą niezwykłą do nadania mu jakiegokolwiek roli czynnej, bez pomysłu genialnego, który dozwolił poecie ominąć trudność tę pierwszorzędną. Wiedząc, że Hamlet sam nigdy nie zdecyduje się na czyn żaden, ukazuje mu ducha zmarłego ojca, który jest jakoby projekeyą na zewnątrz własnych jego wątpliwości. Powątpiewając o prawdziwości zjawiska, może nadal odkładać wykonanie zamiaru. Ale Hamlet jest jedyny w swoim rodzaju, a jeżeli Szekspirowi udało się z niego wydobyć coś naksztalt czynu, ani on, ani żaden inny wielki dramaturg nie odważył się próbę powtórzyć. Scena potrzebuje charakterów energicznych, prostych, jasno określonych, i słuszną robi uwagę Paul Bourget, że żadna barwa połowiczna, żaden światłocień psychiczny, żadna nieświadomość niema prawa obywatelstwa na scenie, bo z nich nie można wydobyć akcyi silnej, a bez akcyi niema dramatu. Miał więc prawdziwy zmysł sceniczny Dumas, że do swoich dramatów nie wprowadził Spinozy lub innego marzyciela panteisty. Renan przeciwnie obdarzył nas Antystyuszem, a zrobił to dlatego, że nie jest poeta, i niema owego instynktu scenicznego, stanowiącego o wyborze charakterów i motywów. Nabyć tego instynktu nie można, trzeba z nim się rodzić, bo, jak pisze trafnie sam Dumas w przedmowie do jednej z sztuk swoich: Nie można zostać autorem dramatycznym, lecz albo się jest nim odrazu, albo nigdy, tak jak się jest bez woli swojej blondynem lub brunetem.

VI.

Dotąd zajmowaliśmy się tylko formą zewnętrzną, poetyczną utworu, ale skoro do niej autor sam nie przywiązuje wielkiej wagi, powinniśmy zdobyć się na podobną wyrozumiałość. Można napisać lichy dramat, a jednak włożyć w niego tyle myśli wielkich, że treść znakomita uratuje formę ułomną. Rozważmy więc *Kapłana z Nemi*, jako rozprawę czysto filozoficzną. Wtedy tylko podług jednego kryterium sądzić rzecz wolno, kryterium prawdy. Dramat może być bez wartości poetycznej, osoby w nim występujące mogą nie odpowiadać warunkom scenicznym, ale teorie przez nie wyobrażone muszą być, jeżeli nie prawdziwe, to przynajmniej prawdziwie i wszechstronnie wyłożone. Jest to przedni obowiązek myśliciela. Renan nieraz powtarza, że „oprócz prawdy nie miał innego interesu na widoku“, a nawet nieszczęśliwą formę dramatyczną obrał w tem przekonaniu, że w niej można najlepiej wykładać idee filozoficzne, najwszechstronniej traktować wysokie problemy ludzkości. Przypatrzmy się z tej strony utworowi; sądzmy go według jedynego kryterium prawdy.

Uderza zaraz czytelnika, że prawie wszystkie charaktery sztuki są ujemne. Mecyusz arystokrata, to złośliwy, do gruntu zepsuty egoista; dla niego zbrodnia jest łożyskiem regularnem ludzkości. Kaska i Latro to sztyletnicy, bez czei i wiary, którzy jeden po drugim dochodzą do godności kapłańskiej. Cethegus demagog, to podły krzykacz, po stopniach popularności wdzierający się na panowanie. Liberalis, przywódzca postępowych, to charakter słaby, bez głębszych przekonań, gotów zawsze uchwalać rzeczy najszkodliwsze dla ojczyzny, byleby nie wypuścił z rąk władzy. Słowem same figury ujemne. A to widocznie jakiś *parti pris*, bo nie inaczej dzieje się w dramatach poprzednich. W *Kalibanie* lud brutalny opój, więcej zwierzę, niż człowiek; szlachta bez wierności, bez porywów idealnych; mieszczenie i artyści, zmateralizowane samoluby; legat papieżki, inkwizytor, zakonicy, ludzie do najwyższego stopnia przewrotni. W *Eau de Jouvence* głowa ludu trochę więcej ucywilizowany, niż w *Kalibanie*, ale niemniej cyniczny egoista. Kobiety bez żadnej

enoty; szlachta bez honoru, uczeni sami sofiści, papież Klemens, kardynałowie, zakonnice — moralne potwory. Gotówes uwierzyć, że Alba Longa, Medyolan lub Avignon były kiedyś zaludnione samymi wyrzutkami społeczeństwa. Ale autor łaskawie ostrzega nas, że nie dba o prawdę historyczną, że książę Prospero nigdy nie panował, że taki Klemens papież nigdy nie istniał, że wypadki albańskie mogły mieć miejsce w każdym innym czasie i na każdym punkcie ziemi. Tłumaczy nam, że pisze historią idealną, która materialnie nigdy się nie wydarzyła; że odbywa bezwzględne studia psychologiczne, nie odnoszące się do osób historycznych, które rzeczywiście żyły.

Jeżeli taka jest intencja autora, dlaczego wciela każdą ideę w jakąś osobę niekzemną? Czyż to nie grzech wielki przeciw prawdzie? czyż to nie jest podkopać same zasady krytyki umiejętnej, a bezstronnej? Czyż identyfikowanie teorii politycznych z ludźmi nędznymi nie musi ich obniżyć w oczach czytelników, a jego źle usposobić dla nich. A wtedy mowy być nie może o sprawiedliwości, o bezstronnem szukaniu prawdy. Kapłaństwo, monarchia, arystokracja, demokracja dokonały wielkich rzeczy w dziejach ludzkości, i miały świetnych przedstawicieli; kto zatem pragnie poznać wszystkie ich strony, dodatnie i ujemne, powinien studyować je na okazach najzdrowszych, a nie na podupadłych, lub ułomnych. Wszak zoolog żaden nie wybierze jednostek chorych lub anormalnych, gdy chce zbadać budowę ciała lub prawa rozwoju jakiegoś rodzaju. Renan przeciwnie idee dziejowładne, z których każda oddała usługi niezmierne sprawie cywilizacji, Renan je studyuje w szpitalu lub w kryminale, zamiast na otwartem polu gonitw rycerskich. Dla niego społeczeństwo ludzkie, to egoizm wielkich, głupstwo ludu, niedołęztwo ludzi rozumnych, hańba kapłanów kłamliwych, słabość kapłanów liberalnych, łatwe zwodzenia patryotyzmu, illuzje liberalizmu, płaskość nieuleczona ludzi podłych. Cóż tedy wypłynie z tej powodzi złego? Co wychyli się ponad poziom ludzkiej przewrotności? Jeden Antystyusz! On sam tylko sterczy ponad błoto egoizmu i zepsucia, on jeden potrafi z niego ludzkość uratować, bo chociaż zginął w Albie, odżyje na nowo,

a kiedyś, autor nie wątpi o tem, sprawa jego zwycięzy. „Antystyusz wiecznie będzie się rodził, aby wiecznie ginąć, ale w końcu pokaże się, że suma jego niepowodzeń dorównała zwycięstwu. Pozwólmy słodkiemu marzycielowi skończyć smutnie, wyprzeć siebie samego, żebrać przebaczenia u Boga i ludzi za dobro, które uczynił. Pewnego dnia, na danym punkcie czasu i przestrzeni, urzeczywistni się wszystko to, czego chciał.“

VII.

Ten „słodki“ bohater, którego wywyższył autor kosztem społeczności całej, obniżonej, aż do kretynizmu moralnego, ten Antystyusz, jedyna postać, niby idealna wśród powszechnego zepsucia, jest jedną z najdziwaczniejszych kreacyj społecznej nam literatury. Nie łatwo określić jego charakter, pełen kontradykcyi i niejasnych pragnień. Chce zreformować religią, a niszczy ją do gruntu; chce ziomeków podnieść do kultu prawdy, a zaszczenia w nich zwątpienie; chce ojczyznę ratować, a odcina kotwice, na których umocowana. Zaczyna bez potrzeby walkę z przesadami i ginie, przez nikogo nie żalowany. Śmierć jego nie budzi współczucia, bo od pierwszej chwili występował w roli fałszywej, oburzającej nasze uczucie moralne. Zostawszy kapłanem Dyany, choć nie wierzy w jej boskość, z namysłem dyskredytuje świątynię, jedyne ogniwo moralne konfederacyi łacińskiej; głosi przez usta Karmenty przepowiednie, pochodzące niby od bogów, a przez niego wymyślone; podkopuje resztki patriotyzmu, zapowiadając rychły upadek ojczyzny i tryumf Rzymu, a robi to wszystko, korzystając z pozycyi urzędowej, dającej mu wpływ rozległy. Trudno pomyśleć większą hypokryzją, zdradę wstrętniejszą. Jest to Wallenrodyzm stokroć obrzydliwszy od Konradowego, bo Litwin w kapturze mści się na wrogach ojczyzny, Antystyusz przyspiesza upadek swego narodu, aby kiedyś przez Rzym panowała na ziemi mowa łacińska i jakiś nieokreślony ideał.

Nigdzie nie maluje się lepiej ta jego przewrotność, jak w rozmowie z Karmentą przy końcu drugiego aktu. Jest

to stylistycznie najpiękniejsza scena sztuki. Karmenta zjawia się, gdy Antystyusz po odejściu Ekwikolów zaczął monolog rozpaczliwy. Ona przyjmuje z rezygnacją los, który jej zgotowano. Jest posłuszną, ale cierpi niezmiernie. Przeklina świątynią i swoją misją kłamliwą i lata młode., marnowane w jaskini ponurej, przez której otwór wygłasza przepowiednie bogów. Kocha Antystyusza i błaga, aby uwolnił ją od ślubów niedorzecznych. Chciałaby zostać jego żoną i na zawsze porzucić miejsce znieawidzone. Ale kapłan jest niewzruszony. Każdy powinien spełniać obowiązek swój! mówi do niej. A gdy Karmenta nie pojmuje obowiązku dla bogów, którzy właściwie nie istnieją, odpowiada: Bogi, którym się poślubiłaś, może nie istnieją, ale jest coś boskiego, a ty do niego należysz! Ja jestem kapłanem i zostanę nim na zawsze; ty, Sybillo, także powinnaś zostać dziewicą. Potrzeba ojezyny wymaga, abyś udawała wariatkę. Piękność twoja mogłaby wzbudzić miłość, ale twoim obowiązkiem wzniecać tylko przestraszać!

Karmenta jednak nie daje za wygraną. Co za maska nieznośna! woła. Gotowam chętnie umrzeć za prawdę, a ty każesz mi kłamać! Wtedy pociesza ją Antystyusz, że kiedyś jej kłamstwa okażą się wielką prawdą, bo da światu przykład wiekopomny poświęcenia i obowiązku. Twoja szata czarna będzie oznaką szlachetnego zastępu kobiet, które w religii odkrywają nowy program obowiązków, a w czystości godność życia! Słowa te w pojęciu chrześcijańskim są wielką prawdą, która świat przekształciła, ale w ustach kapłana Dyany są czezym frazesem. Dla niego religia nie jest oddaniem się Bogu rzeczywistemu, lecz marzeniem subiektywnym o nieskończoności, która niczem nie jest po za myślą ludzką.

Tak wielka jednak potęga miłości, że sercu kobiecemu wystarcza ten frazes mglisty. Sybilla gotowa zrobić, co rozkaże, ale chciałaby wiedzieć, czy choć trochę ją kocha, bo co tylko dobrego zrobi kobieta, zawsze je robi z miłości do mężczyzny. Antystyusz na pytanie drażliwe, wracające kilka razy w ciągu rozmowy, pięknymi odpowiada frazesami: Wszystko, co się robi wielkiego w krainie ideałów, dzieje się przez pracę wspólną mężczyzny i kobiety. Ale miłość ma niezliczone kształty i nazwy. Kto ma spełnić wielkie dzieło, nie

powinien kochać kobiety, bo taki Orfeusz naprzykład byłby nierównie większy, gdyby nie był znał Eurydyki; kto jak on miał zbawić ludzkość, lub ucywilizować, ten w życiu swoim nie może pomieścić kobiety. Powinien raczej być kochanym, niż kochać. Co najwięcej wolno kobiecie całować zgrab jego szaty i umywać mu nogi.

Ale Karmenta niezrażona raz jeszcze pyta, czy ją kocha. Wtedy kapłan całuje ją w czoło i mówi: Siostrzo w obowiązku i męczeństwie, ja ciębie kocham! Karmenta zaś woła z uniesieniem: Teraz rozkazuj! Sybilla nie porzuci już nigdy swojej sukni czarnej! Powiem wszystko, co tobie natchną miłość prawdy, lub interes Lacyum! Potem tak prorokuje: „Siostry czarno ubrane, które już widzę w przyszłości, gdy przyjdą w imię rozumu podnieść waszą zasłonę, nie chcejcie być wolne! strzeżcie wiernie waszych ślubów grobowych! Hańba temu, kto raz skosztowawszy szalu boskiego, potem do zwykłego nawraca się zdrowego rozsądku! Ślub szaleństwa świętego jest jedyny, od którego nigdy nie można być zwolnionym!“

Wielu Francuzów unosiło się nad tym ustępem i łatwo zgadnąć dlaczego. Wielka musi być postać zakonnicy chrześcijańskiej, skoro jej życie samotne, zapomniane, ofiarne, przez świat znienawidzone, wydaje się pisarzowi niewierzącemu najwyższą doskonałością w rozwoju idealnym ludzkości. Ale zakonnica Chrystusa nie przyjmie komplementu, który dostał się jej przez pomyłkę. Nie niema wspólnego między miłością Boga, a szalem bez celu i przedmiotu, Mogła tego nie czuć Sybilla, ale był powinien wiedzieć Renan, który podczas lat swoich seminaryjnych naczytał się mistyków, jak opowiada w Wspomnieniach młodości. Od nich mógł się dowiedzieć, że „słodkie szaleństwo krzyża“ nie jest dzikim obłędem; że miłość bez granic Chrystusa nie nadweręża bynajmniej równowagi władz umysłowych. Dzieła św. Teresy, pomimo górnego polotu a nadzwyczajnej wyobraźni, pozostaną na zawsze wzorem zdrowego rozsądku i kryształowej jasności stylu. A w tem nie niema dziwnego, bo miłość do obiektu ściśle określonego napelnia duszę spokojem i zadowoleniem, szal za czemś nieograniczonym skazuje ją na szmatyczne podrzuty.

Oby Karmenta była opętana prawdziwym szalem pro-
 roczym! Siedziałyby wtedy jak Sybille na suficie kaplicy
 Sytyńskiej; czy zamyślona nad księgą tajemniczą, razem
 z Erytrejską, czy jak delficka, rozaczając zwój pergami-
 nowy, na którym przepowiedziane jest przyjsie Zbawiciela.
 Ale Karmenta nie jest *plena Deo*, a zatem niema prawa
 mówić pokoleniom przyszłym o szale świętym, którego nigdy
 nie zaznała. Ona tylko udaje go z rozkazu Antystyusza.
 A tak oboje kłamią: ona głosząc się Sybillą od bogów wy-
 braną, on udając kapłana bóstwa, w które nie wierzy. Jej wina
 mniejsza, bo kłamię z miłości do niego; ale on nawet tej
 wymówki niema. On świadomie i zuchwale odgrywa do końca
 rolę fałszywą, żeby swoje plany przeprowadzić. Jakież to
 plany, pyta zdumiony czytelnik, dla których wyzuć się trzeba
 z osobistej godności? podeptać wszystko, co naród ma za
 święte, a w końcu ojczyznę samą? Kult piękna i prawdy
 odpowie Antystyusz.

VIII.

Antystyusz, to nie utwór natchnionego kaprysu, jak
 tyle postaci, swawolnych lub śmiesznych w dramatach Szek-
 spira; to typ rzeczywisty, powtarzający się w tysiącach dusz,
 to sam Renan, żywy, dotykalny, taki, jaki przemawia od
 lat trzydziestu. Wiara jego, to wiara *Kapłana z Nemi*. Gdy
 w maju 1871 r. łuna olbrzymia zaświeciła nad Paryżem, pa-
 lonym przez komunardów, Renan schronił się do Wersalu
 i w parku dawnych królów Francji rozmyślał nad klęskami
 ojczyzny i przyszłemi losami Europy. Postanowił wtedy zro-
 bić obrachunek z samym sobą i ułożyć bilans tego, w co
 wierzy, a o czem powątpiewa. Jeżeli kiedy, to w chwili tak
 groźnej i uroczystej pragnął być szczerym i prawdziwym.
 Wypadek długich medytacyj ogłosił w *dyalogach*, które są
 jakoby sumaryuszem jego wiary filozoficznej, a w trzech ru-
 brykach osobnych zapisał skrupulatnie to, co jemu zdawało
 się pewnem, co prawdopodobnem, a co nareszcie marzeniem.

Pewnem dla niego jest, że nie istnieje żadna istota,
 wyższa od człowieka. Wprawdzie świat pełen porządku i har-

monii, ale nie pokazuje żadnych śladów działania Bożego. Wszystko dzieje się według praw ogólnych, a nie dostrzeżono nigdy wyjątku na korzyść rodzaju ludzkiego. Gdyby Bóg rzeczywiście opiekował się nami, tak rozumuje Renan, byłby powinien wystąpić choć raz w obronie niewinności, dopomódz do zwycięstwa sprawie dobrej i słusznej. Ale dzieje ludzkie są na wskrós niemoralne, a społeczeństwo, gdyby nawet chciało, nie potrafi być sprawiedliwym. Nigdy Bóg nie usiłował lub nie zdołał tego zmienić, a zatem jasna, że Boga niema. Nigdy nie objawił potęgi swojej. Na co więc modlić się do Niego. Nigdy modlitwa żadna skutku nie odniosła. Gdyby modlitwa była choć aktem miłości lub podziwu, toby Renan od biedy ją tolerował; ale wszak najczęściej ludzie proszą Boga, aby ich ratował w biedzie, lub co na jedno wychodzi, aby ich wolę spełniał, a taka prośba jest zniewagą dla Bóstwa, *une injure à la divinité*. Taksamo rozumuje Antystyusz, gdy odpędza matkę, przychodzącą modlić się o wyzdrowienie dziecka.

Czytelnik gotów pomyśleć, że Renan materyalistą, ale on nie przyjmie tej nazwy, odpiera nawet materyalizm, jako jeden z największych błędów. Negować działanie Boga w przyrodzie nie jest w oczach jego prawdą całą, dlatego po negacyi stawia afirmacyą. Tłumaczy nam, że świat ma cejakis i pracuje nad dziełem tajemniczem. Jak każda roślina zwierzę każde stara się urzeczywistnić typ swego rodzaju, tak każdy naród, każda religia, ludzkosć, a nawet świat cały zdążają instynktowo do jakiegoś wielkiego planu. Jest w przyrodzie jakiś popęd niezmierny, jakiś *nisus* powszechny, aby stworzyć jedność i harmonią, a kiedyś u końca drogi, jakąś samowiedzę ogólną. Ten popęd nieustający, to *fieri* olbrzymie, bo przez wolne, ciągle ewolucye zmierzające do jakiegoś uświadomienia siebie, to *Bóg*, lub raczej Bóstwo. Ono jest w zwierzęciu i w dziecku, w nieuku i w człowieku genialnym. Ono jest rozumem tych, którzy sami go nie mają, a dla wszystkich tajemną sprężyną, która ich porusza według praw estetyki i eurytmii. Ono jest liczbą, wagą i miarą, które zrobiły świat harmonijnym i wiecznym. Ma więc racyą Antystyusz, gdy mówi do Karmenty: Bogi, którym jesteś poślubiona, może nie istnieją, ale jest coś boskiego, i ty do niego należysz!

IX.

Więc Renan panteista? Bynajmniej! On nie przysięga na żadną chorągiew. Czas systemów przeszedł niepowrotnie. „Wiem, że Boga niema, ale wierzę, że świat ma jakiś cel idealny i służy zamiarom bożym!“ oto *credo* Antystyusza-Renan'a. Oczywiście na takiej wierze nie można oprzeć enoty, bo czyn cnotliwy jest dzieckiem obowiązku. Ale gdzie niema prawodawcy ani celu świadomego, tam obowiązku być nie może. Obowiązek to posłuszeństwo, ale jakże być posłusznym, gdy się nie wie, komu i na co? Cóż wtedy stanie się z narodem? Czy może ostać się bez praw, bez cnot, bez obowiązków? A jeżeli naród bez nich żyć nie może, to mniej jeszcze ludzkość, bo ludzkość to narody, złączone wspólną wiarą. Czując to Antystyusz i Renan, a nie mogą nie czuć, skoro pierwszy chce cywilizować ludy łacińskie, a drugi dla Francuzów napisał „Reformę umysłową i moralną“, tłumacząc nam, że są obowiązki, nawet święte. „Organizacya rozumu, to obowiązek ludzkości, bo celem świata jest, aby rozum panował.“ Oczywiście nie każdy zgodzi się z Renan'em, żeby kształcenie umysłu było zadaniem najwyższym, a cóż dopiero obowiązkiem *par excellence* naszego rodzaju. Będzie jednym obok innych, ale nie będzie najwyższym

Dajmy jednak na to, że nim jest, i że światło rozumu jest rękojmnią enoty i dobroci, jak mniemają niektórzy, to doskonałenie władz umysłowych i nabywanie wiedzy tylko wtedy będą obowiązkiem, jeżeli bez nich nie można osiągnąć celu koniecznego. Ale tego celu nigdzie nie widać w systemie Renan'a. Nie może nim być organizacya rozumu, bo rozum jest tylko narzędziem, a narzędzie, nawet najznakomitsze, jest zawsze środkiem do czegoś; nigdy zaś celem ostatnim. Co więcej! to narzędzie okaże się nieużytecznem! Rozum w znaczeniu najszlachetniejszym tylko do jednej rzeczy służyć może, do odkrycia prawdy. Dopóki przyświeca ta nadzieja, rozum będzie robił największe wysilenia, ale niechaj utraci ją, a przestanie się trudzić, bo praca bez celu jest niedorzeczną. Takiej jednak pracy żąda od nas Renan, gdy doskonałenie rozumu ogłasza najwyższym obowiązkiem, a zarazem upewnia, że nigdy

nie dojdziemy do prawdy, a formułka nieskończoności pozostanie na zawsze nieznaną. Znaczy to poprostu, że koroną trudów naszych jest sceptycyzm, a powątpiewanie o prawdzie, naszym obowiązkiem najważniejszym i najwyższym ideałem.

A pewność moralna? Zdawałoby się, że o niej nawet mowy nie będzie w takim systemie. Gdzie prawdy niema, tam ani cnót nie będzie, bo czemże cnota, jeżeli nie jest urzeczywistnieniem prawdy? Ale Renan, lubiący w dyalektyce popisywać się sztukami łamanemi, tłumaczy nam, że sceptycyzm nie narusza moralności, bo spekulacye filozoficzne nie mają żadnego zastosowania w praktyce. Cnota pozostanie nazawsze podwaliną stosunków społecznych. „Słodycz, życzliwość dla wszystkich, szacunek wszystkich, miłość ludu, zrozumienie ludu, dobroć powszechna, usposobienie kochające dla wszystkich jestestw, oto prawo bezpieczne, które nigdy nie zwodzi.“ Program niewątpliwie wspaniały, ale kto go wykona? Nie dosyć jest, kazać ludziom być cnotliwymi, trzeba im także powiedzieć: dlaczego i na co? Renan żąda cnoty, ale nie podaje żadnej racyi, a nawet system jego wyklucza możliwość cnoty. „Mało mi na tem zależy, odpowiada; dobroć nie zawisła od żadnej teoryi.“ Zapomina jednak, że nie jest łatwą rzeczą być dobrym; że potrzeba wielkiej pracy, aby zachować w duszy zasób dobroci, złożony w niej przez Stwórcę, a wysileń bohaterskich, aby go pomnożyć. Ale praca bez motywów, nie ma żadnych warunków powodzenia. Jeżeli kształcenie rozumu, bez nadziei, że kiedyś dojdziemy do prawdy, tylko ludziom podobać się może, którzy nie mają przed sobą celu jasnego, to ćwiczenie się w enocie, najtrudniejsze z wszystkich, będące ciągłą walką wewnętrzną, szeregiem nieprzerwanym wyrzeczeń, nikomu nie przypadnie do smaku. Ktoby chciał bez powodów żadnych podjąć taki trud bez miary? Nawet Antystyusz o wszystkim powątpiewający, woła, że cnota potrzebuje świadka niebieskiego, któryby jej dodawał odwagi w trudnych przeprawach. Chrześcianin ma takiego świadka: bo słyszy w sumieniu swoim jego głos potężny. Chrześcianin wie, dokąd idzie, i także to wie, że żaden czyn jego, zły czy dobry, nie przypadnie w obliczu wieczności. Ale Renan każe nam spełniać wszystkie cnoty

chrześcijańskie, bez wiary w Chrystusa, bez nadziei życia wiecznego, bez miłości Boga.

„Stara wiara, tak gdzieś mówi, zapomocą której pomagano człowiekowi do praktykowania cnoty, jest wstrząśniętą i nie została zastąpioną. Dla nas ludzi wykształconych, zupełnie wystarcza ekwiwalent owej wiary, czerpany z idealizmu, bo działamy pod wpływem dawnych nawyków. Jesteśmy jak zwierzęta, którym fizyologowie mózgi wyjmują, a które pomimo to nie przestają spełniać pewnych funkcji żywotnych według nalogu dawnego. Ale te ruchy instynktowe z czasem osłabną. Robić dobrze, aby Bóg, jeżeli istnieje, był z nas zadowolony, może się niektórym wydawać formułką trochę próżną. My żyjemy cieniem cienia. A czem żyć będą po nas?...” Ten znak pytania stawia Renan u końca rozwoju moralnego ludzkości. Jak niewiadomo, z kąd wzięła się na ziemi, tak nieznanym celem, do którego zmierza. Sceptycyzm zupełny, intelektualny i moralny, jest treścią filozofii nowej, i ma być stanem ogólnym umysłów, gdy rozpocznie się panowanie bezwzględne rozumu, *la souveraineté absolue de la raison!*

X.

Nieraz już zrobiono Renanowi słuszną uwagę, że taki idealizm nie różni się od nihilizmu, i że burząc wszystko, co dotąd ludzie cenili i kochali, a nie dając im w zamian nic zgoła, skazuje ich na rozpacz bez granic, z której jedno tylko wyjście, samobójstwo. Ludzie przecież nie mogą żyć samą nicością. Ale francuzki akademik jest człowiek z konceptem. Tłómaczy nam, że ludzkość nie zginie, bo ona zawsze wydobędzie z łona swego tyle *illuzji*, ile jej potrzeba do spełniania obowiązków i przeznaczenia swojego. Ludzie zawsze będą cnotliwi, bo tego wymaga wszechświata plan tajemny, którego my nie znamy. Jest ktoś niewidzialny, który nami dorabia się. Człowiek jest dobrem zwierzęciem i pracować nie przestaje, dopóki jakaś potęga niewidzialna ukazuje mu zdaleka jako nagrodę różne bawidelka idealne. W koszarach Palatyńskich weteran jakiś wyrysował osła, obracającego żarna,

a pod nim dla pociechy rekruta nożem wrył te słowa: *Labora aselle, quomodo ego laboravi et proderit tibi*. Takim osielkiem, według Renan'a, jest człowiek, a ktoś niewidzialny każe mu żarna obracać. Kto jest ten niewidzialny, niewiadomo, ale to pewno, „że nami się dorabia, że naszym kosztem coś układa, że jesteśmy igraszką wyższego egoizmu, który przez nas spełnia zamiary swoje. Wszechświat, to wielki egoista, który nas chwytą — zapomocą wabików grubych, czasem przez rozkosz, za którą nam płacić każe również wielką boleścią; czasem przez raj urojony, w którym niema cienia prawdopodobieństwa; nareszeie przez najwyższe złudzenie enoty, która nam każe poświęcać nasze interesa najoczywistsze, jakiemuś celowi nam obcemu. Wędka jest widoczna, a jednak ludzie na nią się złapali i zawsze łapać się będą.“

Jestto myśl ulubiona Renan'a, że im cnota jest doskonalsza, tem większem jest złudzeniem, i że każda cnota jest łapką, którą przyroda zastawia na dobroduszość lub niewinność naszą. Myśl tę rozwija prawie na każdej stronie swoich dyalogów i dramatów filozoficznych. „Natura ma w tem interes, aby jednostka była cnotliwą. Z punktu widzenia korzyści osobistej, jestto oszukanie (*une duperie*), bo jednostka nie odnosi z cnoty swojej żadnego pożytku doczesnego, ale przyroda potrzebuje enoty jednostek. Jesteśmy więc oszukani (*dupés*) i to rozumnie, na korzyść jakiegoś celu pozaświatowego, który sobie wszechświat układa.“ Wszystkie enoty i poświęcenia, zamieniają się tym sposobem w sztuczki podstępne, w jakieś figle złośliwe, które nam płała tyran nieznany. A naszym obowiązkiem poddawać się cierpliwie kaprysom i wymaganiom owej potęgi, bo nawet przez nią oszukani i wyzyskiwani, mamy wyższość niezmierną ponad zwykłych ludzi, folgnujących rozkoszom cielesnym; jesteśmy oszukani, to prawda, ale sposobem tak idealnym, że nie żal rozczarowania, a potem któż wie, czy mrzonki, na które nas złapano, nie okażą się kiedyś na ziemi, czy na innym planecie, piękną rzeczywistością? Wtedy tryumf będzie po stronie enoty.

Oczywiście taka nadzieja jest bardzo słabą, a gdyby nawet była najpewniejszą, to tak, jak gdyby jej nie było, bo i któż będzie postępował cnotliwie dla tego, że może kie-

dyś, za tysiące lat, na ziemi lub na Marsie, powstanie społeczeństwo dobre i sprawiedliwe. Ze wszystkich omamień, któremi przyroda według Renan'a osidla człowieka, byłoby to najsmieszniejsze, a względ na pokolenia przyszłe tylko wtedy ma sens rozumny, jeżeli my sami pewni jesteśmy nieśmiertelności naszej. Jeżeli zaś nas zgoła nie będzie po śmierci, jeżeli, jak Ariel w Kalibanie rozplyniemy się w atomy eteryczne, to najobojętniejszą dla nas rzeczą, czy Mars za sto tysięcy lat będzie zaludniony przez geniusze szlachetne lub przez małpy złośliwe. Dla takiej nadziei, nikt przy spełnych zmysłach będący, nie zada sobie najmniejszego trudu.

XI.

Cóż więc zostaje niewzruszonym w dziedzinie moralności? Nic zgoła. Opiera się ona na ciągłych złudzeniach, a złudzenie to nicosć. „Budowa społeczna, powiada Renan, wznosi się nad wielką próżnią.“ Smutna to prawda! zawoła czytelnik. Smutna, odpiera filozof, ale korzystna; bo gdy się łyżwuje na lodzie, dobrze jest wiedzieć, że cienki; wtedy człowiek staje się ostrożnym. Zresztą każda filozofia, objaśnia Renan, smutną jest, dlatego trzeba ją zaprawiać dobrym humorem. „Nie znam filozofii wesołej, ale przyroda jest wiecznie młoda i zawsze do nas się uśmiecha. Dla niej niema dróg bez wyjścia. Ona radzi sobie w położeniach najrozpaczliwszych. Na pierwszy rzut oka, ludzkość za dni naszych zdaje się być wepchniętą w miejsce, z którego wydostać się nie może.... Ale z czasem ludzkość wynajdzie sobie nowe illuzye.“ Przekonany, że prędzej czy później natura sobie da jakoś radę, ma Renan smutek w abominacyi. Chociaż wszystko uważa za złudzenie, nie wyjąwszy enoty, każe nam jednak być dobrej myśli, nawet cieszyć się, bo znajduje, że to bardzo wesoło, gdy się z góry wie, że jesteśmy oszukani, a natura z nas sobie żarty stroi na wielkiej dziejowej maszkaradzie. Dlatego tak lubuje się w najdrobniejszych szczegółach Nerona, który po aktorsku pojmował życie; przy zgonie jego woła z podziwem: „Raz jeden, o przyrodo z tysiącem twarzy, umiałaś znaleźć aktora, godnego roli podobnej!“ Dlatego

z wielkiem upodobaniem kreśli portret rozpustnego Petroniusza, bo „wykwintne życie jest także mistrzostwem, a uczta wszechświata byłaby niekompletna, gdyby ziemia była tylko zaludniona przez fanatycznych obrazobórców i ciężkich ludzi enotliwych.“ Dla tego dramata jego obfitują w zabawy. Większa część Kalibana wypełniona ucztą a w *Eau de Jouvence*, wszyscy używają życia: od papieża do pacholków, a co chwilę, nawet wśród scen najohydniejszych dolatuje śpiew wesoly tancerzy na moście awinońskim:

*Sur le pont
d'Avignon,
c'est là que l'on danse ;
Sur le pont
d'Avignon,
que l'on danse en rond.*

XII.

Francuzi, choć lubią wesołość, zaczynają się niepokoić humorem Renan'a. Wyznać trzeba, że to humor osobliwszy, podobny do tańców śmierci, malowanych po cmentarzach średniowiecznych. Jestto wesołość, na widok której krew w żyłach się ścina; wesołość grabarza, dowcipkującego nad otwartym grobem. Neron czy Petroniusz, Poppea czy Seneka, Hadryan czy Antynousz, przedstawiają się jemu ze strony wesołej, żartobliwej. Jedni męczennicy i święci Pańscy nie mają dla niego powabu; to też napisał o nich te twarde i niesłuszne słowa: „Nędzarze, pogardzeni przez wszystkich ludzi porządnych, zostali świętymi. Nie byłoby dobrze, gdyby takie rehabilitacye często się powtarzały. Bezpieczeństwo towarzystwa wymaga, aby jego wyroki bardzo rzadko były odwołane.“

Starano się wytłómaczyć ten stan psychologiczny, a nawet określić jakimś wyrazem ogólnym. Paul Bourget w swoich dowcipnych a głęboko poczutyh *Essais de Psychologie contemporaine* robi Renan'a głową *dyletantyzmu*, ale ta nazwa jest bardzo nieszczęśliwa. Przez dyletanta rozumiemy człowieka, który po amatorsku, a nie sposobem fachowym upra-

wia jakąś sztukę lub naukę. Zwykle z tą nazwą łączymy pewne lekceważenie, jakoby amator unikał trudów, towarzyszących każdej pracy naukowej lub artystycznej, a tylko lubował się w jej stronach przyjemnych. Takie znaczenie wyrazu jest może niesłusznem, ale skoro utarło się, nie sposób go teraz zmienić. Bourget zresztą nie odmawia Renan'owi charakteru człowieka fachowego, pragnie tylko oznaczyć jego tendencją moralną. Znajduje właściwość jego głównie w tem, że swój sceptycyzm zamienia w narzędzie do używania, i dlatego o wszystkim powątpiewa, aby mieć prawo wszystkim się cieszyć. Uwaga prawdziwa i głęboka; jednakże uznać nie mogą filiacji, za pomocą której Bourget psychologią Renan'a łączy z podobnemi objawami w przeszłości. Między jego protoplastami duchowymi, wymienia Aleybiadesa, Cezara, Leonarda da Vinci, Montaign'a, nawet Szekspira. Żaden jednak z tych wielkich ludzi (Aleybiades był tylko wielkim nieponiem), nie jest podobny do francuzkiego akademika, chyba, że niektóre rysy sceptyczne, napotykanne w duchowych fizyognomiach ludzi najrozmaitszych, zechcemy uważać za pełne podobieństwo. Będzie to jednak podobieństwo takie dalekie i blade, że nie przyda nam się na wiele do wyjaśnienia kierunku literackiego, inaugurowanego przez Renan'a. Bo właściwością jego nie jest sceptycyzm, ten prawie w każdym stuleciu miał zwolenników; ni żądza wiedzy wszelakiej, tę posiadali w wyższym stopniu ludzie odrodzenia; ni wesołość wykwiutnego używania, w tej zawsze mistrzowali prawdziwi humaniści.

Jaka więc specyalność Renan'a, dla której został typem literackim, a głową licznej szkoły, podziwiającej nietylko styl jego, lecz i filozofią? Nazwano ją pesymizmem, dyletantyzmem, pyrronizmem, paradoksalnością i niewiedzieć czem jeszcze; żaden jednak z tych wyrazów nie określa dokładnie metody, w której upodobał sobie pisarz. Jest on sceptykiem, idealistą, realistą, impresjonalistą, sentymentalistą, mistykiem nawet, ale nigdy z głębszego przekonania, lecz o ile w danej chwili to mu potrzebnem jest do własnej lub czytelników zabawy. Kaliban np. przedstawia społeczeństwo z gruntu zepsute i wstrętne, o którego chuci brutalne i egoistyczne rozbija się idealizm Prospera. Przypuszczasz, że autor całą duszę swoją

włał w księcia medyolańskiego, i własne rozczarowania jego ustami wygłasza. Gdzie tam! Z przedmowy dowiesz się, że w całej sztuce nie masz żadnej teorii filozoficznej lub politycznej, że to „krotochwila ideologa, wyznającego filozofią świerszczy i skowronków, które nigdy nie wątpily o tem, że światło słoneczne jest rzeczą bardzo miłą, życie darem wybornym, a ziemia żyjących bardzo przyjemnym pobytem.“ Komu tu wierzyć, przedmowie, czy sztuce? Czytelniku, nie wierz ani jednej ani drugiej, lecz bierz je za to, czem są, za krotochwile, w której nie masz myśli poważnej.

W *Eau de Jouvence* obraży jeszcze okropniejsze. Papież rozpustny, panie bez honoru, lud płaski i głupi, szlachta i dworacy bez odwagi i zdania, kardynałowie, zakonnicy i t. d. bez wiary żadnej, bez prostej nawet uczciwości, tworzą tło ohydne, na którym kilku sofistów, także w nic nie wierzących, rozprawia o najwyższych zagadkach świata. Mistrz d'Arnaud szuka eliksyru cudownego, aby przedłużyć sobie i przyjacielom życie i możność używania. Po kilku próbach nieudanych, wynajduje wódkę, która choć bezsilna wobec starości, może jednak ludziom dać śmierć szczęśliwą. Pierwszy d'Arnaud z niej korzysta i umiera w objęciach rozkoszy, filozofując do końca, a papież i kardynałowie przyrównują go do jednego z świętych irlandzkich.

Czytelnik zawoła: ale to same bluźnierstwa przeciw Bogu i ludziom! To fraszka dla Renan'a. Jemu o zabawę chodzi. Gdy przyjdzie ochota bawić się w bluźnierstwa, pofolguje im bez namysłu. A nawet to zasługa, bo w dyalogach mówi, że „bluźnierstwo wielkich umysłów jest Bogu przyjemniejsze, niż modlitwa wyrachowana człowieka zwyczajnego.“ A gdy zdumiony paradoksem pytasz, co może być milego w owej kałuży moralnej, zowiącej się „*Wodą młodości*“, odpowiada, że chciał przedstawić dzieje „rozumu wyższego, pozbawionego chwilowo władzy swojej nad niższymi częściami ludzkości.“ Gdybyś jednak zabrał się do zgłębiania teorii, autor ci powie, że sam nie bierze jej na seryo, bo to była zabawka, jak tyle innych, która mu uprzyjemniła pobyt w *Ischia* i przez miesiąc pozwoliła zapomnieć o *bolach reumatycznych*. Zaiste, szlachetna zabawa, obrzucać najświętszą instytucją narodową błotem, przepraszać potem, że *takiego*

Klemensa IV historia zupełnie nie zna, a w końcu zrzucać ze siebie wszelką odpowiedzialność za teorye, wygłaszane pod pretekstem, że to tylko zabawne gawędy, które prowadzą między sobą „dwa półkula jego mózgu.“

Przykłady te, dodane do wyżej przytoczonych twierdzeń Renan'a usprawiedliwią dostatecznie wybór nazwy, którą należy oznaczyć tę osobną metodę literacką. Nie mogąc zgodzić się na żadną dotychczas proponowaną, wybieram staropolską „żartobliwość“ jako najlepiej malującą ten szczególny stan psychologiczny, kwiat najnowszy, wyrosły nad brzegami Sekwany.

Żart jest antytezą dowcipu. O ile ten służy rozjaśnianiu prawdy, o tyle tamten ją zaciemnia. Dowcip, to światło silne, rzucone na jeden punkt przedmiotu, aby lepiej go można zobaczyć; żart, to maska, za którą trzeba domyślać się twarzy prawdziwej. To też znaczenie ich różne w życiu i literaturze. Rozmowa dowcipna może trwać w nieskończoność, żarty wkrótce się przejedzą. Dowcipu chętnie słuchamy od wszystkich, żartów tylko od dobrych znajomych, a nawet wtedy niezbyt chętnie, bo obcowanie ludzi wymaga szczerości, a żart jest zawsze udawaniem. W literaturze poważnej, a Renan tylko tę uprawia, oczywiście wolność żartowania jeszcze więcej ścieśniona, niż w życiu towarzyskiem, bo pisarz odzywa się do czytelników, których nie zna, a którym przez szacunek należy winien najjaśniej myśli swoje oznajmić. To też jedna tylko, za przykładem Platona, dozwolona forma żartów, lekka ironia, a ta nigdy w czytelników mierzyć nie powinna, lecz w przeciwnika, którego zdanie się zbija. A wiadomo, z jaką miarą nawet Platon używał tej broni, którą władał po mistrzowsku, Renan zaś lekką ironią i ostrym sarkazmem, i głupie błaznowanie, i frantostwo przebiegłe, i wyuzdane krotochwilstwo, a nawet tłuste swawolenie, słowem, wszystkie możebne rodzaje żartów, wybrał jako kolory ulubione, któremi maluje płótna swoich filozoficznych i historycznych kompozycyj. Przyjąwszy raz rolę żartownisia, do której uzdalniało go może jego pochodzenie czysto celtyckie, tak nią się przejął, że każdy przedmiot, nawet najwznioślejszy lub najsmutniejszy, zamienia w krotochwilę, którą siebie zabawia i czytelników.

Nie masz w średnich wiekach wspanialszej ni świętszej postaci, nad św. Franciszka. Renan zaręcza, że zawsze miał do niego wielkie nabożeństwo, ale czempředziej obdarłszy go z aureoli łask nadprzyrodzonych i cudów, robi go marzącym idealistą, ubóstwiającym przyrodę. A że wyłączną własnością Renana jest żartować z bohatera, o którym pisze, a w dodatku z siebie samego, powiada, że on także, jak patriarcha z Asyżu, przeszedł przez świat bez przywiązania, bez majątku, jak zwykły lokator i wylicza wszystkie podobieństwa, jakie zachodzą między nim a wielkim świętym.

W swoich „Wspomnieniach młodości“ poświęca rozdział osobny czterem cnotom, które on praktykował przez życie całe. Może przypuszczał, że kiedyś zechcą go w Rzymie kanonizować, i zawczasu przygotował potrzebny materiał. Otóż cztery główne cnoty Renana są: ubóstwo, skromność, grzeczność i czystość. Najwięcej ukochał ubóstwo, które go zbliżyło do św. Franciszka. „Opuszczę życie, nie posiadawszy nigdy nic więcej, jak to, co służy do użytku, według reguły franciszkańskiej. Ile razy chciałem kupić jaki kącik ziemi, głos wewnętrzny mnie od tego wstrzymywał. Wydawało mi się to czemś ciężkiem, materyalnem, przeciwnem zasadzie: „*non habemus hic manentem civitatem*.“ Kupował zatem papiery wartościowe, bo „akcje są lżejsze, bardziej eteryczne, bardziej znikome; mniej przywiązują, a są bardziej narażone na utratę.“ Dodaje nawet, że Michał Levy, który go dobrze płacił, był przez Opatrzność stworzony umyślnie na to, aby był jego wydawcą! W takim tonie napisana jego autobiografia, a czytelnik nie może wyjść z podziwienia, widząc, jak człowiek uczony i sławny, życie swoje pojmuje jako jedną ciągłą krotoczwilę. Nawet jego wielkich walk wewnętrznych, przez które podobno przechodził w seminaryum, zanim zerwał z Kościołem, nie można brać na seryo, bo porównyując siebie z młodymi włóczęgami po kawiarniach paryzkich, mówi: „Wyznaję, czuję się upokorzonym, że mi potrzeba było pięciu lub sześciu lat badań zapalonych, hebrajki, języków semickich, Geseniusza, Ewalda i krytyki niemieckiej, aby dojść właśnie do tego samego celu, który ci mali nieponie osiągnęją od razu i jednym susem.“

XIII.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał cytować dłużej, a czytelnik nie dowiedziałby się wiele więcej o tej metodzie krotoczwilnej. Zresztą nie piszę rozprawy o psychologii Renan'a, lecz tyle tylko z niej biorę, ile potrzeba do objaśnienia jego kierunku literackiego. Chcąc go zrozumieć dokładniej, należy także baczyć na przyczyny, które go stworzyły. Niektórzy krytycy słusznie uważają Renan'a za objaw konieczny naszych czasów, za dziecko niewyrodne kosmopolitycznej demokracji, znoszącej różnice narodów i stanów, wiar i przekonań. W istocie gdy do Paryża, jak do bazaru olbrzymiego, napływają towary duchowe i materyalne, a nawet mieszkańcy całego świata, gdy tam nauczą się żyć, obcować, bawić się razem; gdy na aukcyach artystycznych w hotelu *Drouot* zobaczą wyroby stu odmiennych cywilizacyj; gdy w salonach, teatrach, dziennikach, książkach, spotkają trzydzieści sprzecznych opinii politycznych, literackich, religijnych, złączonych razem jedną wspólną tolerancją, mniejsza o to, czy prawdziwą czy tylko udaną, wtedy nie sposób, w takiej atmosferze, wśród takich wpływów przeciwnych, zachować charakter jednolity. Większość, czując się niezdolną, aby jedną formułką objąć te rozliczne, a nawzajem wykluczające się zasady, a przez nawyknięcie lub słabość nie chcąc żadnej z nich porzucić, zgodzi się w końcu na to, że „rozmaitym sposobem, a zawsze dobrze można rozwiązać wielką zagadkę przeznaczenia“, jak krytyk jeden wyraził się o Renan'ie. To jednak dopiero sceptycyzm, podobny do owego, który panował w Rzymie pod koniec starożytnego świata.

Aby wytłumaczyć jowialną żartobliwość Renan'a, potrzeba jeszcze wziąć pod rozwagę inną właściwość naszego czasu. Można ją nazwać hipertrofią władz umysłowych. Nasze wychowanie przybiera coraz bardziej kierunek naukowy, z uszczerbkiem moralnego. Szkoły nasze i wychodzący z nich pisarze, pamiętają przeważnie o zaspakajaniu ciekawości i

rozumu, a zaniedbują daleko ważniejsze potrzeby serca i woli. Chodzi im o to, aby pokolenie nowe jak najwięcej wiedziało; nie dbają o to, czy potrafi działać. Są przekonani, że poznać dziesięć systemów moralności jest najlepszym środkiem, aby być człowiekiem zacnym; ale nie umiając stanowczo oświadczyć się za żadnym z nich, wpajają mimowoli w uczniów przekonanie, że najlepiej nie przyjąć żadnego. Wystarczy, jeżeli się zrozumie wszystkie.

„Zrozumieć wszystko“, to ulubiony frazes Renan'a. Mówiąc o najwyższych zagadkach życia, dodaje: „Godność człowieka nie wymaga, aby na te kwestye umiał dać odpowiedź stanowczą; wymaga tylko, aby nie był obojętnym na nie.“ Zapomina, że kwestye te w życiu często muszą być rozstrzygane w sposób stanowczy, a kto tego nie chce, musi kłamać przed sobą i ludźmi. Jego ideałem będzie wtedy Marek Aureliusz, najświętszy z ludzi starożytnych, według Renan'a, którego życie całe było *un pieux mensonge, une perpétuelle dissimulation*. Ile razy znalazł się wobec stanowczego problemu moralnego, zawsze się cofnął, nigdy rozwiązać go nie śmiał. Wiarołomstwo żony, występki syna, zdrada podwładnych, nie potrafią zamącić jego spokoju wewnętrznego, bo dobry cesarz, objaśnia biograf, *zrozumiał*, cierpiał i milczał. Zrozumieć wszystko, jak Marek Aureliusz, to szczyt doskonałości. Wtedy się wie, że „uciecha i ból, miłość ludzi i nienawiść, są jedną i tąsamą rzeczą“; wtedy dochodzi się do prawdziwej dobroci, która polega na jasnym zrozumieniu, że wszystko w świecie jest płocze i bez wartości; wtedy się osiąga dobroć sceptyka, „która jest najpewniejsza“; wtedy „wstępuje się w *nirwana* budystów, i można śmiać się z śmierci, bo ona już niema sensu dla nas.“

XIV.

Do tej anemii duchowej doszedł Antystyusz. On wszystko zrozumiał i gotów umrzeć. Zniszczywszy, co się dało, z podstaw moralnych i religijnych ojczyzny jest przeświadczony, że spełnił wielką misję, i że po nim ludzie

będą jeszcze lepiej *rozumieli* idealną zagadkę życia. Ale Renan nie pozwala mu umrzeć tak tanim kosztem. Żartując nawet z własnych ideałów swoich, pokazuje nam ich skutek dotykalny w osobie sługi ofiarnego Ganeó, który wyobraża zdrowy rozsądek i życie praktyczne. Gdy Liberalis przychodzi zabrać Antystyusza na wielką ceremonią ekspiacyjną przed wybuchem wojny, słyszą obaj z głębi świątyni jakieś głosy. Przysłuchują się ciekawie. To Ganeó rozmawia z Leporynem, który przyszedł poradzić się wyroczni, czy zginie na wojnie. Ganeó mu tłumaczy, że najlepszą rzeczą uciekać.

„Lubią udawać, że zwycięzca zabity odnosi korzyść z swego zwycięstwa. Ale on nie o tem nie wie. Oddawać cześć jego zwłokom, jest to samo, co oddawać je pniakowi. Gdyby to były przynajmniej jakieś pola elizejskie dla żołnierzy, poległych w bitwie. Ale dowiedziono tak znakomicie, że ich niema.“ Leporyn jednak ma jeszcze skrupuły. „Co powie naród, gdy ucieknę?“ Na to Ganeó z niewzruszonym spokojem: „Dla narodu jest lepiej, gdy jest zwyciężony. Biada narodowi zwyciężkiemu. Ujarzmiony, jest przez tych, którzy go zawiedli do zwycięstwa. Zwycięzca, to najgorszy z tyranów, najbardziej przeciwny reformom. Ale nazajutrz po klęsce naród robi postępy. Nazajutrz po klęsce jest się wolnym i szczęśliwym. Niech Bóg nas broni od zwycięstwa.“ Leporyn już prawie przekonany.

Wtedy Ganeó wyklada mu filozofią swoją, jakby wyjętą z książek Renan'a: „Używajmy, biedny przyjacielu, świata, biorąc go takim, jakim jest. Świat, to nie żadna rzecz poważna, to farsa, dzieło jowialnego demiurga. Wesolość jest teologią jedyną w tej wielkiej farsie. Ale na to trzeba unikać śmierci. Śmierć, to błąd, którego nie naprawić nie może. Kto się daje zabić za cokolwiekbądź, jest durniem niezrównanym. Czy to nasza wina, że świat tak urządzony, iż człowiek dostaje karę, gdy robi dobrze, a nagrodę, gdy robi źle?“

Leporyn głęboko się zamyślił. „Gdyby przypadkiem Ganeó miał racya! Ale gdzież jest Antystyusz?“ „Tam sobie medytuje“ odpowiada Ganeó. „Biedny człowiek jest dzisiaj zupełnie rozkołatany. Jego filozofia dobra na dni spokojne, ale ludziom, którzy idą dać się zabić, nie umie on nie

powiedzieć. Przed chwilą przechadzał się samotnie, rękę przykładając do czoła, a tak mówiąc do siebie: „W czasie wojny nieśmiertelność duszy jest potrzebą pierwszej konieczności; nieśmiertelność zaś duszy przypuszcza bogów.“ On podobny do kupca, który niema w przegródkach swoich żądanego towaru. W dniach stanowczych potrzeba śmiałości i szalbierstwa, których on niema. Dlaczego chciał być kapłanem. Nie trzeba się mięszać do takich funkcyj, jeżeli się nie umie spełniać obowiązków z niemi połączonych. Tylu ludzi pragnęłoby ich się podjąć. Myślałem zawsze, że kiedyś będziemy żalowali Tetrykusa.“

Usłyszawszy tę rozmowę, Antystyusz i Liberalis spoglądają na siebie z przerażeniem, a drugi tak do pierwszego: „Oto, co się wyklada w świątyni bogów, gdy kapłani ją opuszczają!“ Antystyusz: „Tak, prawda jest tylko dobrą dla tego, który ją znalazł. Co jest pokarmem dla jednego, jest dla drugiego trucizną. O światło, które mnie doprowadziło do tego, żem ciebie ukochał, bądź przeklęte! Zdradziłoś mnie. Chciałem naprawić człowieka, a zepsułem go“... W końcu pada zemdlony. Raz jeden Antystyusz powiedział prawdę szczerą. A Renan dziesięć lat dawniej z podobną odezwał się rozpaczą: W 1875 r. na wstępie do *Reformy umysłowej i moralnej* przyrównywa siebie do owego waryata, który w Jerozolimie bez ustanku biegał po murach miasta, przeznaczonego na zagładę. On tak wołał: głos od wschodu! głos od zachodu! głos od czterech wiatrów! biada Jerozolimie i świątyni! A nikt go nie słuchał aż do dnia, kiedy ugodzony kamieniem z śmigownicy, upadł z krzykiem: Biada mnie!

Renan-Antystyusz nie powinien się dziwić, gdy naród jego nie słucha; filozofia jego dobra na czasy spokojne, na nic się nie zda ludziom, którzy giną.

XV.

Renana-Antystyusza nie będę zbijał z osobna. Wszak to krotochwila, w której płacz i śmiech, smutek i radość, gniew i miłość, gonia się w biegu szalonym. Gdy nas zaklina, abysmy zawsze żyli dla cnoty, a zaraz dodaje, że ona może także jest złudzeniem; gdy nam każe kochać ideał, a w teje chwili upewnia, że istnieje tylko w ludzkim marzeniu; gdy świat nadprzyrodzony nazywa iluzją, a jednak uważa ją za konieczną, bo bez niej nie można zrozumieć przyrody; gdy rzeczywistość dotykana ogłasza jedyną pewnością, a równocześnie ją być mieni cienką skorupą, pod którą może kryje się nicosć; gdy niewiarę bezwzględną w prawdy chrześcijaństwa uważa za tryumf wiedzy pozytywnej, a tymsamym prawdom prorokuje nieśmiertelność, bo pozostaną nazawsze ideałem niespożytym ludzkości — możemy to uważać jedynie za żarty. Jeżeli zaś akademik uczony ubolewa, że musiał sześć lat uczyć się języków semickich, zanim przekonał się, że chrześcijaństwo nie jest prawdą, gdy przeciwnie paryski ulicznik zgaduje to w jednej chwili; jeżeli ogromnej większości rodzaju ludzkiego odmawia prawa do niewierzenia, bo nie będzie nigdy na to dosyć uczoną; jeżeli każe zachować cały kult katolicki jako formę szczytną ideału, ale pozbawiwszy go treści dogmatycznej, bo ta niepotrzebna; jeżeli nam dowodzi, że bez wiary w Boga i nieśmiertelną duszę moralność jest niepodobna, ale że pomimo to naród, gdy raz utraci tę wiarę, może długo jeszcze praktykować cnotę, tak jak kura, której fizyolog mózg wyjął, będzie jeszcze sobie dziób czyściła, gdy go obleje się jakim kwasem, a wkońcu dodaje, że to może trwać długo, a co potem będzie, tego nie wiem! — to podobne kontradykcyje, a za nimi ukrywająca się obłuda i niejasność poczucia moralnego nie znajdują nigdy przystępu do naszego społeczeństwa, ceniącego przedewszystkiem zdrowy rozsądek, szczerosć i moralną prawość.

Nowa szkoła swawolna nad Sekwaną i szerokie spu-
stoszenie w duszach, przez nią zarządzone w jej ojczyźnie, sta-
nie się dla nas raczej bodźcem potężnym, aby silniej jeszcze,
niż dotąd, trzymać się przeszłości i jej wielkich chrześcijań-
sko-narodowych tradycyj. Narody stoją tem, czem urosły; ży-
ją, czem zostały wykarmione. Naszego społeczeństwa pia-
stunką była religia chrześcijańska, która dzika, nieużyteczną
płonkę uszlachetniła w drzewo pełne owoców. Chociaż wi-
chry kilkowiekowe strąciły z niego dumne konary, może pień
stary nową okryć się zielenią, dopóki korzenie jego tkwią
głęboko w gruncie owej cywilizacyi, z której niegdyś wyrósł.



K. 13447

K
13447